



NA MOSKWĘ!

Peregrynacja do Sambora • Zemsta Dworyckiego • Nocleg w szczerym polu • Wieczne knowania • Opowieści starego mnicha • Kto trzyma stronę Dymitra? • Chytry plan stolnikowica • Koniokrad • Carewicz rzuca gromy • Zagadka carskiego syna • Słodkie oczęta Maryny Mniszchówny • Męka Borysa • Tajemnica dwunastu apostołów • Kwit na Waartama • Sługa panny wojewodzianki

Die 30 julii, Anno Domini 1604
Trakt pod Przemyślem, poranek

Polskę i Ruś najlepiej oglądać z końskiego grzbietu, gdy wypoczęty wierzchowiec idzie dziarskim stępem, wysuwając przy każdym kroku łeb do przodu, stawiając kształtne nogi niczym mały książę. Gościniec zaś przecina wielobarwną mozaikę pól. Jedne niwy żółcą się łanami żyta pochyłającego długie kłosa ku ziemi, na innych kołyszają się ciężkie kiście pszenicy, a wielkie ziarna sterczą niby guzy na żupanie szlachcica posesjonata. Tam, gdzie zboża sprzątnięte, jarzy się żółta szczecina rżyska na brunatnej ziemi, stoją mendle złożone z dorodnych snopów przewiązanych słomia-

nymi powróżkami, rozparte jak przekupki na krakowskim Rynku.

Spojrzysz dalej, za rzeczkę, na pagórek, gdzie grunt bardziej piaszczysty. Tam marszczy się od wiatru gąszcz na wiosnę przetykany białymi kwiatami, teraz już brązowiejący, przy którym słysząc brzęk pszczoł i os. I wiesz już, że widzisz grykę zwaną tatarką, za którą mającą splecione złote kłosa owsa. I niskie poletka jarego jęczmienia.

Kończą się żniwa. Na jednym zagonie niewiasty dożynają resztę zbóż pod czujnym okiem karbowego. Na dalszy zajężdża już chłop drabiniastym, skrępowanym wiciami brzozywymi wasągim; bosym – to znaczy o nieokutych kołach, bez raf, czyli bocznych obręczy – i niesmarowanym, który skrzypli żałościwie niby ruska kolasa. Gromada bosych dzieciaków w koszulinach goni go z krzykiem i wrzawą, wołając:

– Przedaj woły, kup se smoły!

Na uboczu dziewczki i parobkowie kładą na wóz dojrzałe sno py pszenicy. W pobliżu kręci się ekonom w baraniej czapie zawieszanej na jednym uchu, każdy snopek obejrzy, zmaca, czy nie mokry, choć dawno nie padało. Ogląda się trochę za pannami i mężatkami, bardziej pociągają go krągłości poddanek niż praca. Cóż, kiedy to pańskie prawo; nie dla psa kiełbasa, nie dla kota szperka. A dziewczki, jak na złość, prężą się przed nim niby młode trzciny; podając pszenicę na wóz, śmieją się złośliwie, żartują i piszczą.

Jewka to tam między ludem? – pomyślał pan Dydyński, bo gdzieś w tłumie mignęła mu krągła twarzyczka o jasnych jak len włosach, wymykających się spod czepca i chusty otulających kolistą chomełkę noszoną przez mężatki. Gadali w Dydni, że za kowalowego syna poszła, z Bolestraszcyc, będzie już rok. Dziecko urodziła po Świętym Janie Anno 1603. Moje czy Bełzeckiego? Razem do niej zjeżdżaliśmy. Tyle że tylko ja bykowe zapłaciłem dla honoru. I dwie krowy dałem po sprawiedliwości.

Zaiste miło w taki dzień powszedniej wiejskiej krzątany jechać sobie polem i lasem, w karmazynowym żupanie z przed-

niego falendyszu, aksamitu albo jedwabiu, w wilczym albo rysim kołpaku ze szczerozłotą szkofią czy czaplami piórami. A jeśli dzień chłodny, w ferezji podbitej sobolim futrem. W podkutych safianowych butach długich za kolana i w hajdawerach z dobrego lnu, które nie cisną w siedzenie jak pludrackie fatałaszk. Chociaż uważać trzeba przy siadaniu w nich na terlicę z wysokim tylnym łąkiem jak na klejnoty rodowe – aby potem nie świecić gołym zadkiem przed panami braćmi; wszak nie przystoi to powadze towarzysza husarskiego albo kozackiego.

A kiedy jedzie się polską drogą w czas żniw na dzielnym koniku, mając z tyłu poczet zbrojnych i trzy wozy, przy boku szablę węgierkę albo wysłużoną zygmontówkę, rozpiera człowieka jakaś błogość, fantazja, duma i wtedy doprawdy czuje się Polakiem i szlachcicem, które to rzeczy są ze sobą równie mocno związane jak Orzeł i Pogoń w herbie Rzeczypospolitej. A choćby nawet poddani na polach, zboże, brogi, woły, owce, konie były cudze, to przecież i tak miło wiedzieć, że wszystko należy do wielkiej rodziny herbowych braci – stryja, brata, sąsiada, towarzysza wojskowego, kasztelana czy starosty, no, niechaj będzie i plebana czy też – Panie Boże odpuść – wójta.

– Pochwalony Jezus Chrystus – rzekł Dydyński, zdejmując kołpak, kiedy minął się na trakcie ze spoconym i czerwonym księdzem wiozącym przed sobą brzuszysko dostojne jak półbeczek wareckiego piwa i chybotliwe niby wór sadła na drągu. Pleban wracał widać z pola po zebraniu dziesięciny od chłopków; przeżegnał Jacka leniwie krzyżem i pojechał dalej z Panem Bogiem, osłaniany przed słońcem przez dwóch pacholców kroczących po obu stronach konia i dźwigających płachtę rozpiętą na kijach. Z tyłu podążał wóz ciągnięty przez krępego, leniwego wołu, wyładowany snopami z pobliskich pól.

Trakt wiódł w stronę Lwowa. Błotnisty, pełen dziur i korzeni, rozjeżdżony kopytami koni, bez których nie sposób było wyobrazić sobie Korony Polskiej. Gdziekolwiek spojrzeć w Polsce, gdzie tylko widoczny był bodaj najmarniejszy dwór lub fortalijum, tam zaraz na łączce, pod lasem albo zagajnikiem paśło

się stadko koników. Nie było wioski, szopy, a czasem i zwykłej chałupy, by u jej płotu nie machał ogonem i nie rzucał głową wierzchowiec – czasem nawet byle chmyz lub mierzyn podobniejszy do wyrosniętego kundla niż bojowego rumaka. Ale zawsze koń kuty na cztery kopyta. Przez gwarne Dubiecko i dostojny Przemyśl, przez ludne Mościska i zapadłe wioski jechał pan Jacek do drewnianego Sambora. Skręcił na południe, oddalając się od traktu, którym postępowały na zachód ogromne, nieprzeliczone stada bydła. W wąskich miejscach i przejazdach przez wsie zagony wołów rozciągały się niczym ława tatarska, a na otwartych stepach rozpraszały na wielkie gromady aż po skraj widnokregu. Jeden za drugim szły w stadach ryczące byki, chłostane przez wolarzy i chajdajów, płowe lub szare krowy i jałówki, z rogami rozgałęzionymi niczym ramiona liry. Pędzono je przez całą Ruś i Koronę z Ukrainy. Bez przerwy, bez ustanku, w zimie i w lecie, na przegonach liczących po tysiące mil. Z jarmarków w Białej Cerkwi, Łubniach, Czerkasach i Kaniowie szły poprzez stepy, jary, pustkowia i zdziczałe pola na Cudnów, Lubar, Berdyczów, Słobodyszczę. Na Lwów, Jarosław, Rzeszów, Lublin. A potem dalej – do Frankfurtu, Wrocławia, Brzegu, Gdańska. Później zaś na Paryż, Wiedeń, Norymbergę...

Nadciągał wieczór, kiedy Dydyński dotarł do miasteczka. Dzwony były na komplecie w klasztorze bernardyńskim, odbudowanym na nowo przez starostę przeszło dziewiętnaście lat temu, oraz u ojców dominikanów, za Samborem. Stolnikowic nie wjechał do grodu. Ominął miasto, kierując się wprost do zamku starościńskiego, przejechał nieopodal przedmieścia żydowskiego zwanego Blechem i wkrótce dotarł do siedziby starosty.

Zamek położony był pod miastem, jako osobny przygródek – podobnie jak w Przemyślu, gdzie do fortalicjum wjeżdżało się po przejechaniu przez cały gród. Tyle że tam forteca stała na górze, tu zaś – na dniestrowej równinie, blisko rzeki. Dzięki ogniom, maźnicom i kwaczom płonącym na blankach widział dwie linie murów. Niższą stanowił zwykły płot między

dębowymi kołami oraz parkan zaopatrzone w kilka niewielkich baszt i dwie bramy wyjazdowe zwieńczone gankami. Zamiast dachów nakryte były baniami obitymi białą blachą, z połączanymi gałkami na szczytach.

Dopiero zza tego podgrodzia wyglądały szczyty drewnianych domostw, kuźni i stajni. Za nimi zaś wznosił się zamek właściwy – otoczony kolejnym murem, wyższym na dwa łokcie od parkanu. Tam stały kamienne i ceglane domy – Wielki króla jegomości, mieszkanie królowej, Dom Wysoki i kilka innych zabudowań.

Wieść o tym, iż w Samborze przebywa carewicz zbierający wojsko do wyprawy na Moskwę, rozniosła się echem po całej Koronie. Przed murami kłębił się nieprzeliczony tłum, bowiem progi zamku Mniszchów okazywały się zbyt wysokie dla lipowych łyczaków chłopów i czarnych butów drobnej szlachty. Mrowie ludzi oblegało zamek, dopraszając się bezskutecznie o audiencję u Dymitra, i wybiegało przed bramę, kiedy tylko uchylano furty – w nadziei pozyskania carskiej łaski lub dopuszczenia do pańskiej ręki. Inni założyli obozy na polach, gdzie płonęły ogniska, przy których pito, śpiewano, kłócono się i rozprawiano, a czasem bito, podczas gdy pod zasłoną kotar, szałasów i namiotów kwitło złodziejstwo tudzież wszeteczna ars amandi – dwie nieodrodne i bliźniacze krosty na franco-watej gębie występku.

Jaki to był tłum i jak go opisać? Dość chyba stwierdzić, iż na spoczynek pod zamkiem rozkładał się ten rodzaj ludzki, bez którego drogi i trakty Rzeczypospolitej przypominałyby postaw szarego, nijakiego płótna. Ludzie luźni, zwani pospolicie swawolnymi, wagabundami, hultajami, włóczęgami, wałasami, wagusami, bandosami, szelmami, obieżyświatami i łowcami fortuny. Byli wśród nich flisowie i oryle ciągnący nad San i Wisłę, gdzie na dniach zaczynał się spław zboża do Gdańska i Elbląga. Nieposłuszni kozacy i chłopci – pewnie zbiegli spod bata starosty albo ekonoma. Wolarze i chajdaje pędzący stada do Sambora, świniarze i gęsiarze, których chudoba wylegiwała się w błocie i za-

roślach. Wędrowni tracze od cięcia desek i cieśle podróżujący za okazją do zarobku. A z boku rozłożyli się taborem polscy i ruscy furmani, a przy nich kozaccy czumacy z Ukrainy strzegący pilnie soli, płócien i wiśni na wyładowanych aż po samo niebo kolasach, skarbnikach i wozach okrytych pałubami.

Nieopodal przycupnęli wędrowni szoci – kramarze, którzy nader chętnie zamieniali tobołki na szable i muszkiety, a teraz przekrzykiwali się z domokrażnymi sprzedawcami zwanymi na Rusi węgrzynami. Ci zaś przybyli z koszami i workami pełnymi wstążek, bławatów, szpilek, igieł, książek, medalików i fałszywych koralii. A dalej rozłożyli się oberwańcy, dziady i franci. Wąskimi uliczkami między wozami i namiotami krążyli obraźnicy zachwalający ikony, na których widnieli pokraczni święci: Jan Chrzciciel, Jan Nepomucen, Piotr, Chrystus, Maryja; wciskali chłopom do rąk cudowne i błogosławione, jak powiadali, a tak naprawdę niewarte funta kłaków szkaplerzyki, krzyżyki i medaliki.

Dalej stały kramy i kotary wędrownych garnarzy, koszykarzy, bednarzy, szewców, cebularzy. Przy stadkach koni i bydła kręcili się konowałowie i kastratorzy zwani mięsiarzami – w tym miejscu i tego czasu zwykle Cyganie lub Wołosi.

A zaraz obok grała muzyka i płaśały Cyganki. Tu niedźwiednicy bili w bębny, grali na piszczałkach, na których głos brunatne misie z litewskich puszczy – wykształcone w przesławnej niedźwiedziej akademii smorgońskiej – rytmicznie przestępowały z nogi na nogę. Dalej bawili tłum igrcowie, linoskoki, komedianci, kuglarze i wesołkowie, potrafiący udawać głosy kaczek, dudek, kur, muczeć jak krowa, rzeć jak koń, wyc jak wilk.

Nieopodal przycupnęło także kilku szlacheckich szaraczków. W płóciennych portkach, szarawarach, w lipowych butach i świerkowych łubiach zamiast kołpaków i szyszaków z piórami. Zaś bliżej wrót tłoczyli się dziady, fałszywi tułacze, żebracy i żebraczki, uwolnieni z tureckiej niewoli, pątnicy i pokutujący za zabójstwo brata, szelmy, chromi, kalecy, szalbierze, wydrwigróse, baby, guślarki i znachorzy, łazęgi, nieroby.

Dydyński i jego ludzie przebili się przez tłum plebsu; napierając końmi, rozdając razy nahajem i szturchańce częściej niż datki, podjechali pod bramę podzamcza. Jacek załomotał pięścią w nabijane bretnalami wrota. Po chwili okrzyknięto ich z wysoka.

– Czego?

– Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki! – zakrzyknął, czując, jak mimo wszystko żołądek podchodzi mu do gardła. – Towarzyszu chorągwi husarskiej jegomości Szczęsnego Niewiarowskiego, salvator³⁷ carewicza Dymitra, prosi o gościnę.

Stało się. Nie było odwrotu. Dydyński przypomniał sobie słowa Dymitra wypowiedziane przy ostatnim spotkaniu: *Módl się, abyś nie musiał się przekonać, jak bardzo twój żywot jest igraszką w ręku Pana.*

Swoją drogą, szkoda, że nie dodał do swego oznajmienia słów: *pokornie* oraz *najjaśniejszego carewicza*. Ale taki już Jacek był – krnąbrny i buntowniczy, nawet jak na szlachcica polskiego.

– Poczekajcie, wasza miłość! – odkrzyknął z góry hajduk wcale nie tak pewnym siebie i wyniosłym tonem jak poprzednio. Dobrze, niech ćwiczy się w unizonych ukłonach, może dojdzie kiedyś do ekonomii albo wójtostwa. – Zaraz jegomość rotmistrz do was wyjdzie.

Drzwi drgnęły i zatrzeszczały. Rozwarła się w nich wąska furta, w którą nie sposób było wjechać konno. Jacek zeskoczył z Hetmanki, wszedł we wrota, aby napotkać po drugiej stronie bramy... pysk karego wierzchowca, na którym siedział człowiek w czarnym żupanie, z gębą ozdobioną bruzdami ciągnącymi się od krańców warg przez oba policzki i nadającymi obliczu paskudny wyraz.

Dworycki! Szlag jasny i paralusz by to wszystko trafił!

– Służba – rzekł pan Jacek, unosząc rękę do kołpaka.

– Pomagaj Bóg – odparł spokojnie Adam. Wyglądał na nieco zadziwionego.

37 łac. – wybawca

– Jestem w podróży i ośmie... Proszę o gościnę u jegomości pana wojewody sandomierskiego. Tudzież o posłuchanie u jego gościa Dymitra – jednak słowo *carewicz* nie mogło przejść przez gardło stolnikowica.

– W karczmie albo we dworze gościny szukajcie – rzekł Dworycki.

– Chciałbym się jednak zobaczyć z gościem ichmość pana wojewody. Mam sprawę niecierpiącą zwłoki. Czy Dymitr... *carewicz*... mógłby mnie przyjąć?

I po chwili dodał, już znacznie ciszej:

– Bardzo o to proszę.

– Prośba waszej mości zostanie przedstawiona Jego Carskiej Wysokości – wypalił jak z rusznicy Dworycki. – Czekajcie pod zamkiem na wezwanie Dymitra Iwanowicza. Sam do was zejdę i powiadomię, kiedy udzieli wam posłuchania.

No, to mnie masz, pomyślał Dydyński. Wreszcie odpłacisz za wszystkie krzywdy, jak Abel, gdyby mógł zemścić się na Kanie. Jak Pan Bóg odpłacił Judaszowi. Choć nie uczyniłem nic, co wymagałoby takiej zapłaty. Ciesz się, panie bracie, póki możesz. Ta chwila jest twoja. Jak ladacznica, której zapłaciłeś za noc. A potem zobaczymy. Fortuna kołem się toczy.

– Nie można załatwić tego szybciej?

– Jak to: szybciej? Myślałby kto, że waść prosisz o posłuchanie u psiarczyka albo u rejenta, a nie u *carewicza*, wsiej Rusi obładitiela. Myślisz, że tylko ty chciałbyś się z nim widzieć? Więcej tu jest takich, którzy skomlą o posłuchanie. – Dworycki wskazał niewidoczny stąd tłum pospólstwa kłębiący się za bramą. – Nie mnie decydować, kiedy i gdzie łaska carska zostanie udzielona. Dlatego doradzam waszmości cierpliwość i pokorę.

– Mam czekać za bramą? Ja – szlachcic, posesjonat?

– Nie ty jeden, mospanie. To nie roczki ziemskie czy sesja sądu ziemskiego, tylko...

– ...tylko Moskwa – dokończył składnie Dydyński. – Teraz rozumiem wszystko dobrze.

– Na zamku gości dwór carski, na który trudniej się dostać jak na nasz królewski, jako że car równy jest cesarzowi rzymskiemu.

– Ciekaw jestem, czy cesarz wie o tym i także traktuje Dymitra jak równego sobie? – Dydyński nie potrafił utrzymać języka za zębami. – A może liczy, że też przybędzie składać carzykowi pokłony?

– Nadejdzie czas.

– Chętnie to zobaczę – skwitował Jacek dalsze wywody Dworyckiego. – Ale nie licz, że odstąpię. Jutro czy pojutrze carwicz musi dać mi posłuchanie. Czy już waś zapomniałeś, że jestem jego wybawcą?

– Oby zachował cię w łaskawej pamięci. Idź. I czekaj. Twoje prawo.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki